

Wstęp

Laos. Siedmiomilionowe państwo o powierzchni mniejszej niż połowa Polski, w samym sercu Półwyspu Indochińskiego, jedyne na Półwyspie bez dostępu do morza. Skoro wcześniej odwiedziłam dwa sąsiadujące z Laosem państwa (Kambodżę i Tajlandię), skoro w tej podróży odwiedzam dwóch kolejnych sąsiadów – Mjanmę i Wietnam, to wypada też „wstąpić” do Laosu.

Co ja wiem o Laosie? Wiem, że to jeden z biedniejszych krajów świata. Wiem też, że czas świetności (XIV–XVI wiek) Laos ma już za sobą, że po objęciu rządów przez komunistów (1975) nastąpił okres izolacji politycznej i gospodarczej, że w ostatnich latach postępuje intensyfikacja gospodarcza oparta w dużej mierze na turystyce. Tym, co przyciąga turystów i podróżników z całego świata, jest przede wszystkim dawna, królewska stolica Luang Prabang i Równina Dzbanów.

Moje spotkanie z Laosem zaczynam jednak od obecnej stolicy, Miasta Drewna Sandałowego, czyli Wientianu. Przypowieści żadnej o drewnie sandałowym nie znalazłam. Taka nazwa to proste tłumaczenie słowa *Chandapuri* – tak brzmiała indyjska nazwa najstarszego znanego tworu politycznego na terenie, na którym leży dzisiejszy Wientian.

(...)

Rozdział IV

Nie tylko Luang Prabang

Popularnym celem wycieczek z Luang Prabang są jaskinie Pak Ou i wodospady Kuang Si. Wybieram imprezę, która łączy obydwie destynacje.

Jaskinie Pak Ou znajdują się w odległości dwudziestu pięciu kilometrów w górę Mekongu, u ujścia rzeki Nam Ou. Do jaskiń można się dostać tylko łodzią, zatem w końcu będę miała okazję do naprawdę „bliskich spotkań” z Mekongiem.

Wraz z pięcioma innymi amatorami wizyty w jaskiniach płynę długą, wąską łodzią. Jedna za drugą odbijają od brzegu kolejne łódki, a ja czuję się jak uczestnik jakichś regat –

godzina rozpoczęcia wycieczek organizowanych przez wszystkie chyba biura jest ta sama. I program też jest identyczny.

Chociaż nie, nie wszystkie łodzie przybijają do przyczepionej do brzegu stacji benzynowej. My przybijamy, tankujemy i czym prędzej ścigamy pozostałe łodzie. Mijamy, lub nas mijają, nie tylko łodzie z turystami. Równie często widzimy długie łodzie rybaków. Lub ludzi, którzy jedynie przemieszczają się wodą, załatwiając sobie tylko wiadome sprawy.

Czasem minimy sklecony z patyków szałas koło niewielkich zagonów jakiejś uprawy. A tutaj ponad krzakami wygląda iglica starej stupy. Przy brzegu odłożyły się łachy piasku. Na jednej krzątają się przy swych łodziach zapewne ich właściciele. Sterta worków na brzegu i skrzynka, którą człowiek niesie do jednej z łodzi, każą przypuszczać, że to „port” wioski, której istnienia za zasłoną z drzew można się domyślać. Na innej łasze dwa woły szcypiwszy się rogami, dają pokaz swej siły.

W samym środku nurtu sterczy ceglany kikut czegoś, co chyba zaczęto budować. A może to „coś” było celem samym w sobie? Nie zaspokoję mojej ciekawości. Łódka omija szerokim łukiem i resztki konstrukcji zrobionej ręką człowieka i wystające z wody ciemne skały zrobione „ręką” natury.

Po wyłobionych na brzegu pisakowych tarasach węższy wychudzony pies. Znajdzie tutaj coś, co podreperowałoby jego siły? Więcej szczęścia będą chyba miały białe ptaki, które przysiadły na skałach będących w tym miejscu brzegiem rzeki i gromadzą siły do ponownej próby wyłowienia z wody czegoś godnego ich podniebienia. Obniżający się poziom wody odsłonił splecione korzenie drzew, które zda się wkraczają na szczydłach w brązowo-żółtą toń.

Wyschnięte sitowie też zostało odsłonięte. Z powiewającymi na suchych wtkach plastikowych workach, kawałkach papieru, sznurkach, których prąd opadającej wody nie zdołał ponieść dalej. A ile poniósł?

Pierwszy przystanek, na którym wysiadamy, to wioska Ban Xang Hai – Wieś Wytwórców Dzbanów. Nazwa ma sugerować profesję, jaką zajmują się mieszkańcy wioski, chociaż przewodniki wspominają, że obecnie dzbany wytwarza się gdzie indziej, a mieszkańcy wioski zajmują się wytwarzaniem wina ryżowego *lao lao*. Ale faktem jest też, że archeologowie odkryli w okolicy dzbany z początku naszej ery.

Idąc uliczkami wioski, mam wrażenie, że w dzisiejszych czasach mieszkańcy zajmują się głównie handlem. Na straganach królują szale, krosna tkackie ustawione między straganami mają sugerować, że zostały utkane przez sprzedawcę.

Lao lao też można kupić – tuż po wyjściu z łodzi czeka na nas kilku panów, proponując degustację wina ryżowego. Żeby nie kupować „kota w worku”. No, co najwyżej

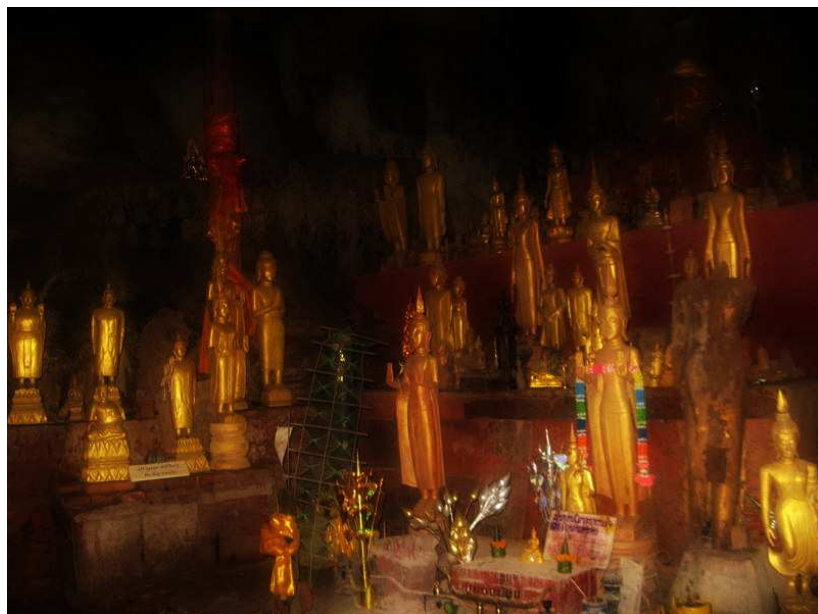
jakąś kobrę w spirytusie – te widać w słojach na innym ze straganów. Zakupy zrobione (!), niewielka świątynka na krańcu wioski obfotografowana, wracamy do łodzi.

Wapienne jaskinie są dwie. Ta niżej położona jest płytsza; aby dotrzeć do tej wyżej położonej, trzeba pokonać schody, ale nie jest to zbyt wyczerpująca wspinaczka. Ona jest głębsza i aby cokolwiek dostrzec, trzeba mieć latarkę. Dla tych, którzy tego nie przewidzieli, „serwis” u wylotu groty czuwa – pani proponuje wypożyczenie za opłatą. Tym razem latarki nie zapomniałam.

Zgodnie z tradycją jaskinie zostały odkryte w XVI wieku przez króla Setthatirata (tego od wznoszenia, może raczej fundowania świątyń). I od pięciu wieków są miejscem kultu, a ludzie przynoszą do jaskiń figury Buddy. Pierwsze zostały złożone w podziękowaniu za uratowanie ojczyzny. Małe i duże. Chyba najwięcej jest drewnianych, ale są i kamienne, i ceramiczne. Przedstawiają Buddę stojącego, siedzącego, leżącego. Wołającego o deszcz, nauczającego, zapewniającego pokój, dającego ochronę, medytującego. Wiele figurek jest uszkodzonych. Bo zgodnie z tradycją uszkodzonej figurki Buddy nie wolno wyrzucać – należy ją przynieść do świętego miejsca.



Ile jest figur w jaskiniach? Niektórzy mówią, że setki, inni – że cztery tysiące. Zresztą ich liczba ciągle się zmienia, figurek przybywa. Jedne pokryte są grubą warstwą kurzu, inne jeszcze błyszczą blaskiem złotej farby, ale wkrótce czas zrobi swoje.



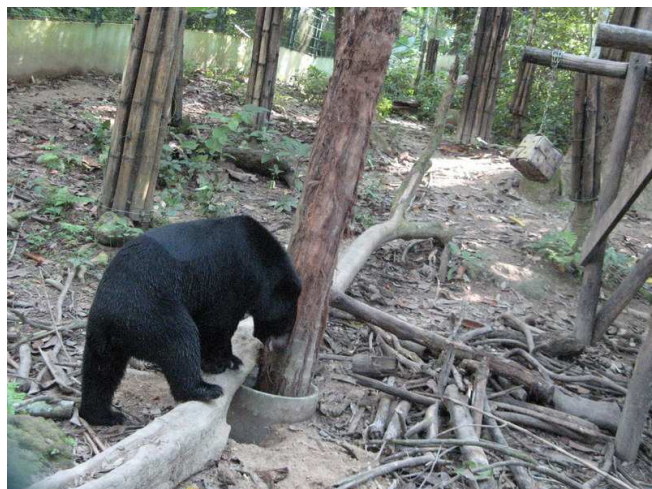
Wiele figur ozdobionych jest sztucznymi girlandami czy kawałkami materiału. W wypełnionych piaskiem wazach tlą się kadzidełka. To znak, że wśród tłumu, który wypełnia jaskinie (a nie przesadzam, pisząc „tłum”!), są nie tylko turyści, ale również pielgrzymi.

Z platformy przed niższą jaskinią jest doskonały widok. Jeszcze ostatni rzut oka na brązowe wody Mekongu, na sąsiedni brzeg, na góry w oddali. Niebo prawie bezchmurne, tylko nad niewielką z tej odległości górą gromadzą się białe obłoki. Wyglądają niczym kłęby pary wydobywające się z krateru wulkanu.

Kilkanaście metrów niżej czekają nasze łodzie. Odpływamy.

Wracamy do Luang Prabang. Na przystani zamieszanie – przekonfigurowanie grup. Przedstawiciele poszczególnych agencji wyłapują swoich podopiecznych. Dla niektórych to koniec wycieczki, inni, ja również, zostają zabrani na lunch. Po zupełnie przyzwoitym posiłku przed restauracją zajeżdża niewielki bus. Dołączamy do tych, którzy wykupili tylko wycieczką popołudniową – do wodospadu Kuang Si, znajdującego się trzydzieści dwa kilometry na południe od Luang Prabang.

Tłumy jeszcze większe niż w jaskiniach Pak Ou. Przybyli krążą pomiędzy... jakoś nie przychodzi mi łatwo nazwać tego, co widzę, kawiarniami czy restauracjami. Określenie „budami z jedzeniem” byłoby z kolei zbyt krzywdzące. Szczęśliwie kiedy wkraczam już za bramę wyznaczającą granicę parku (nie jest to park narodowy), ludzi jakby mniej. Może też i dlatego, że już bliżej końca dnia niż początku.



Szlak ku wodospadowi prowadzi przez teren niewielkiego ośrodka ratującego najmniejsze z niedźwiedzi, niedźwiedzie malajskie, skonfiskowane z rąk kłusowników uprawiających proceder pozyskiwania żółci niedźwiedziej, uważanej za medykament tradycyjnej medycyny ludowej. Jeden leniuchuje na wysoko zawieszonym nad ziemią

pomoście, drugi pracowicie szuka czegoś w korzeniach drzewa. Ten pierwszy jest za daleko, żeby zrobić dobre zdjęcie, ten drugi nie chce pozować – pokazuje gapiącym się na niego część ciała zaczynając się tam, gdzie plecy kończą swą szlachetną nazwę. Szkoda, kolego, ale nie mam czasu na czekanie, aż pozwolisz zrobić sobie zdjęcie.

Jeszcze rzut oka na galerię miśkowych figur – przegląd istniejących w naturze gatunków niedźwiedzi, jeszcze zakup bananowych chipsów (o dziwo, dużo tańszych niż przy parkingu) i pospieszam w kierunku wodospadu, może raczej wodospadów. Woda przelewa się tutaj ponad wapiennymi formacjami, spada z niewielkich, tarasowo ułożonych progów, tworząc jeziorka wypełnione czystą wodą przybierającą turkusową barwę. Amatorów



kąpieli i skoków do tej niezbyt chyba ciepłej wody jest wielu. Otoczenie przygotowane do piknikowania, drzewa zapewniają cień. Cudowne miejsce na odpoczynek.

Mijam spienione kaskady, na końcu doliny najwyższa z nich. Ale z lewej strony strzałka, można jeszcze iść dalej. Patrzę na zegarek, mam jeszcze czas.

Myślałam, że szlak zaprowadzi mnie na szczyt wzniesienia – tam gdzie będzie można popatrzeć na wodospad z góry. Tymczasem ścieżka odbija w bok... Chyba powinnam wrócić. Para młodych ludzi wychodzi zza skały. Potwierdzają, że idę we właściwym kierunku.



Pytanie, co to jest „właściwy kierunek”! Ale mieli rację – do wodospadu docieram, tyle że jest to kolejny jego stopień. Wąskie, strome schody prowadzą do góry, wzdłuż, a niekiedy ponad skałami, po których spływa woda. Pokryte warstwą rozkładających się liści i naniesionej przez buty turystów gliny. Strumień tutaj co prawda mniej obfity i stromizna też jakby mniejsza, ale i tak jest wystarczająco silny, żeby krople wody skutecznie zmoczyły drewniane stopnie schodów. Ślisko... A ja dzisiaj akurat ubrałam klapki!

Ale „korci mnie co jest za zakrętem”. Najostrożniej, jak potrafię, docieram do szczytu schodów (udało się, ani raz się nie poślizgnęłam!), jeszcze kawałek ścieżka prowadzi między skałami i wreszcie docieram do rajku. Tutaj zaczyna się wodospad. Woda utworzyła płytkie rozlewisko, którego brzegi giną wśród krzewów i traw. Spokojnie sączy się na brzeg urwiska, skąd zaczyna spływać ku dolinie. Przemieszczam się po kamieniach, powalonych drzewach, po kładce zrobionej ludzką ręką. W wodzie odbijają się ostatnie promienie słońca, stwarzając niezwyklej nastrój. Tylko szum liści, szelest ptasich skrzydeł... a może to jakieś duchy...

Boże, ja mam już niecałe pół godziny, żeby zdążyć na godzinę zbiórki!

Nagle okazuje się, że nie jestem sama. Może to i dobrze, bo teraz widzę, że wśród skał, które pokonywałam na ostatnim odcinku, jest wiele ścieżek, miałabym kłopot z wybraniem właściwej. I ja, i dwie inne dziewczyny zdajemy się na pana, który wydaje się, że jest „u siebie”. Jego ubranie wygląda na jakiś służbowy... mundur to chyba za wiele powiedziane, ale mam wrażenie, że pan jest ze służb ochrony przyrody. Trochę się denerwuję, wiem, że przede mną niebezpieczne, pokryte błotem schody. Oczami wyobraźni widzę siebie ześlizgującą się po schodach w ekspresowym tempie, na siedząco, stopień po stopniu!

Pan okazuje się dżentelmenem, podaje mi ramię. Skwapliwie korzystam, chociaż chwilę później nie jestem już pewna, czy pan chciał mi pomóc, czy z mojej pomocy skorzystać. Wzajemnie się zatem wspierając, docieramy do podstawy schodów. Żegnam się i już bez przeszkód docieram do bramy parku. Zdążyłam!

W drodze powrotnej mamy do „zaliczenia” jeszcze jeden punkt programu. Nie znoszę tego słowa, ale w niektórych okolicznościach nie da się go zastąpić innym. Mamy zatem do „zaliczenia” wizytę w wiosce ludu Hmong, zamieszkaną przez jedną z czterdziestu dziewięciu grup etnicznych Laosu (Hmongowie mieszkają również w Tajlandii, Wietnamie i południowych Chinach). Wioski tych czy innych ludów to zwyczajowy punkt programu wycieczek zorganizowanych. Nigdy nie kupuję wycieczek, których celem jest tylko wizyta w takiej wiosce. I chyba nie tylko ja, bo organizatorzy, widocznie z braku chętnych, wciskają taką wizytę do prawie każdej innej eskapady (zresztą poranna wizyta we Wsi Wytwórców Dzbanów nie była niczym innym jak takim przymusowym punktem programu). Jest oczywiste, że z obserwacją zwykłego życia tych społeczności taka wizyta nie ma nic wspólnego. Jest oczywiste, że żaden z mieszkańców nie ubiera się na co dzień w paradne stroje, które mają być atrakcją dla przybywających. Jest oczywiste, że chodzi o to, żeby turyści zakupili wyroby oferowane przez mieszkańców. Tylko ile szalików, bransoletek, zakładek do książek może kupić przeciętny turysta?

Wysiadamy z samochodu, chociaż, jak widzę, nikt nie ma na to za bardzo ochoty. Stragany przed domami puste, bo czas już późny i chyba nikt z mieszkańców nie spodziewał się wizyty kolejnej grupy obcokrajowców. Ale widząc zatrzymujący się pojazd, jedna z kobiet wychodzi z domu, wkłada na głowę może sześciolatniej dziewczynki charakterystyczne nakrycie głowy, a do ręki jakieś drobiazgi. Zaczyna się „łapanka”. Dziecko krąży między nami, nikt nic nie kupuje. Jedynym punktem zainteresowania są dwa szczeniaki bawiące się na ulicy przed jednym z domów.

Żenada.

Wracamy do samochodu, pół godziny później jesteśmy w Luang Prabang.